

X edycja POWIATOWEGO KONKURSU ORTOGRAFICZNEGO (licea)

Zwierzenia znużonego wierszokłety

Kolekcjonowanie trofeów to moje hobby. Byłem już zwycięzcą zawodów hafciarskich, turnieju na supertajny szyfr i konkursu na reklamę nowo budowanej oranżerii. Wygrałem niemalże wszystko. Chwilowo nie ogłoszono niczego nowego, dlatego ogarnęło mnie przerażenie na myśl o wszechogarniającej nudzie. Bałem się, że przehultaję cenny czas. I wtedy na ratunek przyszedł mi mój średnio inteligentny, ale dość przedsiębiorczy wuj. Zaproponował, abym wypromował rodzinę, urządzając na przykład wieczór poetycki.

Zacząłem od przejrzania terminów teoretycznoliterackich. Przegryzłem się przez gąszcz alegorii, hiperboli i rach-ciach napisałem wiersz. Phi, jakie to proste! Jednak moja przemądrzała siostra, przeczytawszy arcydzieło, zarzekła się, że wyprze się przynależności do rodziny, jeśli ten żaloszny bohomas ujrzy światło dzienne. Nie na wiele to się zdało: niezrażony niedorzecznymi i chybionymi uwagami dziennikarzy z nowohuckiej popołudniówki, która nie odróżnia obrazu od wiersza, pisałem dalej. Co ja mówię: tworzyłem jak najęty poematy, hymny, rzewne i humorystyczne powiastki, dramatyczne monologi i historyjki z happy endem.

Już widziałem się, jak odbieram Nagrodę Nobla, jak miażdżę wzrokiem skruszoną siostrę, jak wysokonakładowe pisma drukują pochlebne recenzje... Cios zadał mi kuzyn pracoholik, który po lekturze nieledwie połowy sześćdziesięciokartkowego brulionu, zapytał niby to półzartem, czy nie zająłbym się pisaniem tekstów popularnonaukowych. Doprawdy nie wiem, o co mu chodziło, nie powiedział bowiem wprost. Myślę jednak, że przeholował.

Przecież wzniosłem się na wyżyny sztuki rymotwórczej i stałem się poetą na schwał. Ech, wielkich nigdy nie doceniano, a zazdrośników nie brak i w rodzinie. Ten nic nieznaczący epizod nie powstrzyma mnie od zdobycia laurów, w końcu Nobel to nie byle co! Nieprawdaż?

Jolanta Depczyńska